

Poznanie drugiego

„Poznać świat! Od samych podstaw! Wyjaśnić sens jego istnienia, całkowicie, bez cienia wątpliwości!” Są to hasła, które do dzisiaj pasjonują niejednego filozofa. Nie mniej emocji wzbudza samo poznanie. Czym ono jest? W jaki sposób się ono dokonuje? Z pewnością zasadniczą rolę w poznawaniu spełniają nasze zmysły. Nie są jednak nieomyłne. Weźmy przykład: patrzymy na łyżkę w szklance i widzimy, że jest zakrzywiona, chociaż w rzeczywistości jest prosta. Same zmysły nie dają nam gwarancji na dobre poznanie. Pewnie dlatego bardzo często wspomagamy się intuicją, na zasadzie nagłego, spontanicznego i niespodziewanego olśnienia. Zdarza się nam np. podczas spotkania z bliską osobą wyczuwać intuicyjnie, że coś się stało, „coś jest nie tak”. Jest to przeczucie, które nie wynika z analizy zachowania drugiej osoby, a po prostu „uderza nas” już na samym początku spotkania. Niektórzy filozofowie twierdzili, że zdobywanie wiedzy, poznawanie, to nic innego, jak tylko... przypominanie sobie tego, co widzieliśmy w boskiej rzeczywistości. Według ich koncepcji to nie my poznajemy, lecz Bóg w cudowny sposób oświeca nasz umysł.

Kiedy spojrzymy na historię tych filozoficznych rozważań na temat poznawania, okaże się, że poważnym „orzechem do zgryzienia” było zagadnienie poznania... drugiego człowieka. O ile realne staje się poznanie świata i otaczającej nas rzeczywistości, to niemożliwe wydaje się poznanie wnętrza drugiego człowieka. Czy na podstawie tylko zewnętrznej obserwacji jesteśmy w stanie cokolwiek powiedzieć o bogactwie wnętrza? A może należy uznać, że drugi człowiek jest, i na zawsze pozostanie, dla nas tajemnicą?

Proponuję przeprowadzenie eksperymentu myślowego. Wybierzmy jakąś osobę z naszego otoczenia, może niekoniecznie najbliższą naszemu sercu. Niech to będzie ktoś, kogo widzimy co jakiś czas, z kim mamy okazję czasami porozmawiać, ale nie wiążą nas szczególnie głębokie relacje. Może to być np. kolega z pracy, sąsiad, znajomy z klubu sportowego itp. Jeśli wybraliśmy już konkretną osobę, to spróbujmy ją teraz scharakteryzować. Co możemy o niej powiedzieć? Zacznijmy od rzeczy najprostszej - opiszmy jej cechy fizyczne: jak wygląda, jak się ubiera itp. Ponieważ widzimy tę osobę, to opisanie wyglądu zewnętrznego z pewnością nie sprawiło nam większego problemu. Pójdźmy jednak dalej. Opiszmy teraz zachowanie tej osoby w pewnych określonych sytuacjach, jej zwyczaje, gesty. Być może zaobserwowaliśmy, że dana osoba zawsze rano wychodzi z psem, kiedyś w sklepie byliśmy świadkami, jak wyklócała się ze sprzedawczynią itp. Gdyby chodziło o kolegę z pracy powiedzielibyśmy więcej, ale i w przypadku tego znajomego mamy pewne swoje spostrzeżenia. Czy jednak na tej podstawie (tylko zewnętrznej obserwacji, wzbogaconej od czasu do czasu rozmowami, które mogą nawet dotyczyć zainteresowań i życia prywatnego) jesteśmy w stanie powiedzieć: „znam tę osobę”. Co to w ogóle znaczy „znać osobę?” Czy wystarczy opisać wygląd zewnętrzny, posiadać podstawowe informacje na temat rozkładu dnia, zainteresowań, sposobu spędzania wolnego czasu? Czy jeśli wiemy, jak dana osoba zachowuje się na zewnątrz, jak wygląda jej życie z punktu widzenia nas - obserwatorów, to możemy powiedzieć, że znamy tę osobę? Czy można zignorować jej świat uczuć, sposób przeżywania różnych sytuacji, motywy postępowania, jej świat marzeń, lęków, wątpliwości, największych radości? Czy ten świat uczuć nie określa bardziej człowieka, niż jego zachowanie zewnętrzne? Nasze poznanie „drugiego” - takie „obiektywne”, chłodne, z pewnego dystansu, na podstawie jedynie zewnętrznej obserwacji - zawsze będzie bardzo powierzchowne. I to z kilku powodów. Przede wszystkim mamy do czynienia z bardzo „wycinkowym” poznaniem, ograniczonym do jakichś grupy zachowań, których byliśmy świadkami. Znamy np. kogoś w pracy, ale nie znamy jego zachowań w domu, w codzienności. Poza tym - co jest najistotniejsze - nie jesteśmy w stanie poznać „drugiego” bez jego pomocy, bez jego „otwarcia się”. Człowiek, z racji swojej duchowości, bogactwa

swego wnętrza, może dać się poznać tylko dzięki odsłonięciu tej „intymności”. Zawsze jednak pozostaną obszary nie odkryte, nawet przy najgłębszej relacji miłości i otwartości (czasami zresztą dla nas samych są tajemnicą – są one np. tak bolesne, że pomimo, iż zdajemy sobie sprawę z ich istnienia, to jednak nie chcemy ich odsłaniać). I to wcale nie jest przejaw braku zaufania czy miłości.

Jak filozofowie usiłowali rozwiązać problem poznania drugiego? Jeden z nich, nijaki J. St. Mill (1806-1873), stworzył teorię analogii, według której obserwując zewnętrzne zachowania drugiego człowieka, będąc świadkami sytuacji, w których on się znalazł, możemy wnioskować o jego wnętrzu, na podstawie naszych własnych doświadczeń. Przez analogię – „ponieważ ja w takiej sytuacji zachowuję się dokładnie tak i tak, a towarzyszą temu takie a nie inne uczucia, to wnioskuję, że z tym drugim człowiekiem dzieje się dokładnie to samo”. Teoria ta byłaby prawdziwa pod jednym warunkiem – gdybyśmy wszyscy byli identyczni. Gdybyśmy mieli taką samą historię życia, taką samą osobowość, wrażliwość. A tak nie jest i teorię Milla trzeba odłożyć do lamusa.

Bardzo modna swego czasu stała się także teoria „wzucia”, mocno propagowana przez E. Stein (1891-1942). W tym wypadku na podstawie obserwacji zachowań drugiej osoby, mamy jakby „wejść w jej skórę”. Mamy najpierw „doświadczyć” naszych odczuć w takiej sytuacji, a następnie przerzucić je w świat poznawanego człowieka. Dzięki temu, według zwolenników tej teorii, bezpośrednio „chwytamy” cudze przeżycia i stany wewnętrzne, bo wczuwamy się w nie. Dla mnie osobiście ciągle to brzmi dosyć mętnie. Z pewnością takie „wczuwanie się” w czyjąś sytuację jest możliwe, a wręcz konieczne w pewnych momentach, ale ciągle zamiast poznania wnętrza drugiego człowieka możemy kontemplować... tylko własne. I drugi staje się jakby moim sobowtórem. A przecież ile uczymy się od innych ludzi, właśnie dzięki temu, że ktoś *inaczej* niż my przeżywa, *inaczej* widzi, *inaczej* doświadcza.

Pewnym przełomem w refleksji nad procesem poznania drugiego człowieka była tzw. filozofia dialogu. Przedstawicielami jej byli m.in. M. Buber (1878-1965), E. Lévinas (1905-1995), a w Polsce J. Tischner (1931-2000). Uznawali oni, że najważniejszy jest sam moment spotkania, w którym doświadczamy niezwykłego dobra drugiej osoby. Tischner o takim wydarzeniu pisał: „Spotkać, znaczy coś więcej i coś innego, niż zobaczyć, usłyszeć. (...) Od spotkania zaczyna się dramat. To wtrąca mnie na drogę radykalnej przemiany wewnętrznej.”? Według Bukowskiego, jednego z komentatorów filozofii spotkania w Polsce (zob. jego książkę *Zarys filozofii spotkania*, Kraków 1987), istnieją cztery skutki poznawcze spotkania, czyli tego niezwykłego odkrycia i przeżycia wartości drugiej osoby, przy jednoczesnym odsłonięciu swojego wnętrza. Po pierwsze rozpoznaję drugiego jako osobę, niepowtarzalną i jedyną dla mnie. Po drugie następuje wzajemne, spontaniczne otwarcie się na siebie, na swój świat. Po trzecie rodzi się „nienasykalna” fascynacja wnętrzem tego człowieka, do tego stopnia, że już nie jestem w stanie sam zaspokoić i rozwinąć mojej duchowości. Moje wnętrze, dla swojego pełnego rozwoju, potrzebuje wnętrza tej osoby. Ostatni zaś czwarty skutek polega na wzajemnym rozumieniu się.

Filozofia dialogu słusznie zauważa, iż błąd wielu filozofów przy poznawaniu świata drugiego człowieka polegał na tym, że wydawało im się, że można go poznawać, tak jak się poznaje świat przedmiotów: tak jak się poznaje komputer, budowę nowoczesnego wieżowca, konstrukcję samolotu. W przypadku poznawania przedmiotów, wystarczy dobrze się przyjrzeć, poznać zasady działania, plany, wszystko dokładnie opisać, trochę pomyśleć, wyciągnąć wnioski i wszystko staje się jasne i klarowne. Niestety, w ten sposób nie poznamy drugiego człowieka. Co więcej, nigdy sami nie ocenimy czy *już* go znamy. Chyba jedynie on sam może to ocenić. I to w dość specyficznej formie. Nie wypowie tego w zdaniu: „opowiedziałem ci całą historię mojego życia, wszystkie bardziej znaczące fakty i wydarzenia, a więc już mnie znasz, poznałeś mnie”, lecz poprzez wyznanie: „wydaje mi się,

że jesteś kimś, kto zaczyna mnie *rozumieć*, bo jesteś kimś, kto stara się zrozumieć mój świat, moje odczucia, moje przeżycia, moje pragnienia”. Poznać historię życia drugiego człowieka, to nie znaczy poznać konkretne fakty, składające się na nią. Bardzo często pamiętamy te wydarzenia z naszego życia, którym towarzyszyły jakieś szczególne emocje, które odbiły się na nas i mają wpływ na to, jakimi ludźmi jesteśmy obecnie. Słuchając więc historii drugiego człowieka opowiadanej przez niego, powinniśmy myśleć o jego uczuciach, przeżyciach, refleksjach, które i obecnie mogą mieć jakiś wpływ na przeżywanie otaczającego świata. Znać osobę (nawet w miłości), nie oznacza „śledzenia” wszystkiego, co ona robiła w ciągu dnia, tygodnia, miesiąca (w najmniejszych szczegółach: co, gdzie, kiedy, o której godzinie), lecz wsłuchiwać się i starać się zrozumieć wszystko to, co było ważne, co poruszyło – zasmuciło, uradowało, a może wprowadziło w zadumę (odczytywać emocje drugiej osoby). Zwróćmy uwagę, że nawet w bardzo bliskich relacjach, miłości czy przyjaźni, mając wszechstronną wiedzę o bliskiej nam osobie (w końcu przebywamy ze sobą praktycznie na każdym kroku), zdarza nam się usłyszeć zarzut: „Ależ ty mnie w ogóle nie rozumiesz! Znasz mnie od tylu lat, ale wciąż nie potrafisz mnie zrozumieć!”. Dlatego, że źródłem poznania człowieka nie jest obiektywna, całościowa, wszechstronna *wiedza o nim*, lecz *rozumienie go*. Dopiero w takim wypadku można mówić o rzeczywistym poznaniu drugiej osoby. A jak wiemy pewnie z osobistych doświadczeń, wcale nie jest to takie proste.

Możemy poznać cały świat, zwiedzić setki ciekawych miejsc, zgłębić najbardziej fantastyczne teorie fizyczne, matematyczne, biologiczne, medyczne, ale jeśli przy tym „niesamowitym poznaniu” uda nam się poznać (=rozumieć) choć jedną osobę na tej ziemi, to i tak będziemy wielkimi szczęściarzami.